

TADEUSZ SUŁOWSKI

CLIP 01

Nazywam się Tadeusz Sułowski. Urodziłem się 4 lutego 1929 roku w Warszawie. a pochodzę z rodziny ziemiańskiej. To znaczy, moi rodzice zajmowali się majątkami ziemskimi. Ojciec, mimo że był inżynierem mechanikiem, studiował w Niemczech, ale, prawdopodobnie przez koneksje rodzinne, został na roli i wieś go zawsze bardzo interesowała. Byłem na wakacjach w majątku ziemskim mojej babci, Wandy Rozwadowskiej, w powiecie płockim. Majątek nazywał się Kobylniki. Położony dziesięć kilometrów od Wyszogrodu. I tam zastała mnie wojna. I już pierwszego dnia nadleciały samoloty niemieckie i zrzuciły bomby, nie wiem dlaczego, na okoliczne wioski. Między innymi w Kobylnikach wycelowali bombę w najładniejsze gospodarstwo jakie w tamtych stronach było. Bardzo niedługo po rozpoczęciu tej wojny zjawily się motocykle niemieckie, jakieś patrole takie, które, prawdopodobnie, miały za zadanie stwierdzenie, czy są jakieś wojska polskie w tych stronach, czy ich nie ma. Zaraz za nimi przyjechał osobowy samochód, przyjechali oficerowie. I jeden z oficerów wysiadł, wbiegł na ganek i moja ciotka, o ta, z tego zdjęcia, wyszła do niego, ponieważ mówiła trochę po niemiecku i po francusku. Niemiec chciał podać jej rękę, a ciotka rękę cofnęła. Niemiec się smutno uśmiechnął, jeszcze wtedy oni byli dżentelmeni, i powiedział po francusku: *C'est la guerre* – to jest wojna.

CLIP 02

Juz w październiku Niemcy przysłali tak zwanego **Treuhandera**, takiego opiekuna tego majątku z ramienia Niemców. Nie tyle opiekuna, co zarządcę. To był pan Erdbröger, tak się nazywał. Erik Erdbröger. Postawny, wysoki, przystojny człowiek, trzydziestoparoletni. Był obserwatorem lotniczym i został zestrzelony nad Polską, ranny w nogę, i prawdopodobnie, jako ekwiwalent tej rany dowództwo mu przydzieliło ten majątek polski do administrowania, jako że mógł spokojnie sobie odpocząć po froncie, po trudach wojennych. Erdbröger zachowywał się z początku bardzo przyzwoicie. Grał z nami, z dziećmi, w halnę, w warcaby. I wyglądało na to, że jest to jakiś taki sympatyczny człowiek. No, niestety, Niemcy się dopatryli, że ja, moja siostra i matka jesteśmy zameldowani w Warszawie i w grudniu 1939 roku, albo to był styczeń 1940 rok, wysiedlono nas do Warszawy. babcię, ciotkę i tę moją cioteczną siostrę, Hankę, oni pozwolili im tam mieszkać chyba do 1941 roku, po czym wysiedlili ich stamtąd, te moje panie i one zamieszkały w sąsiednim majątku Orszymowo. To też był taki mały dworek i w tym dworku one tam mieszkały. I, niestety, tam się spaliła stodoła. Oni, Niemcy, posadzili moją ciotkę, ze swojej siostrzenicy, tejże Hance, ona kazała podpalić tę stodołę. Po prostu sfabrykowali taką wersję, po to, żeby ciotkę zamknąć. Nie wiem, może to była zemsta pana Erdbrügera, bo ciotka była bardzo piękną kobietą, zresztą to chyba widać i on miał nadzieję pewnie, że z tej znajomości wykluje się coś innego. No, niestety, ciotka była wielką patriotką. Nie znosiła Niemców. I była na tyle niedyplomatyczna, że nie umiała tej swojej nienawiści nie okazywać. I dlatego pewnie przypłaciła to życiem. Bo wysłano ją do Fordonu pod zarzutem, najpierw osądzili ją na karę śmierci za namówienie dziecka do podpalenia stodoły. Myśmy tam pisali do Hitlera różne prośby o ulaskawienie, no i Hitler ją ulaskawił na dożywocie, ale natychmiast przewieziono ją z Fordonu do Oświęcimia, gdzie w Oświęcimiu przebywała może trzy dni. I ten transport z Fordonu, prawie od razu, poszedł do pieca.

CLIP 03

W Warszawie trzeba było wynająć mieszkanie, jako że nasz dom, w którym mieszkaliśmy, Kopernika 16, w bardzo dobrym punkcie, w samym Śródmieściu, został w czasie wojny, w czasie działań wojennych zniszczony. Zupełnie zbombardowany. Wynajęliśmy mieszkanie w Alejach Ujazdowskich. Właścicielką była pani Kijewska. No i tak się zaczęło życie w okupowanej Warszawie. W Warszawie, naturalnie, nie było żadnego kłaniania się Niemcom. Była to, tak zwana, Generalna Gubernia. Na pewno nie były to jakieś wielkie swobody, ale mogliśmy chodzić do szkoły, do szkół podstawowych. Wtedy się to nazywały szkoły powszechne. Moje siostry chodziły do sióstr

Nazaretanek. Brat już był po maturze, to do szkoły nie chodził. Moja najstarsza siostra bardzo szybko zapisała się na nielegalny uniwersytet, bo szkoły uniwersyteckie ruszyły dosyć sprawnie, w dosyć krótkim czasie.

natomiast brat dosyć szybko wszedł w kontakty z nielegalną organizacją o zabarwieniu lewicowym. Zawsze mówił ojcu, że będzie pradziadowską rolą orał. Nie wiem, dlaczego tak mu, taki kierunek akurat sobie wybrał. No, ale dużo młodych ludzi, w owym czasie, miało pretensje do naszego poprzedniego ustroju, sanacyjnego, że działo się dużo niesprawiedliwości, że było dużo biedy, i młodzi ludzie bardzo często nie zgadzali się z tą sytuacją i już w nowej Polsce chcieliby wprowadzić bardziej demokratyczne systemy. I dlatego mój brat znalazł się w organizacji PPS-u. Ale nie tego PPS-u, który był pod protektoratem Związku Radzieckiego i nazywał się RPPS, tak zwany Robotniczy PPS, tylko znalazł się w PPS-ie, którego, której to organizacji kierownictwo było w Londynie.

CLIP 04

Niedługo potem, w mojej szkole, do której chodziłem, kierowniczką tej szkoły była ciotką chłopca, który chodził do Staszica, a przy Staszicu była bardzo dobra 16. Warszawska Drużyna Harcerzy im. Zawiszy Czarnego i, prawdopodobnie, kierownictwo tej drużyny się do pani kierowniczki zgłosiło, że chcieliby przeprowadzić rekrutację w jej szkole, że może będą chętni do harcerstwa, do tejże 16. I, naturalnie, zaczęła pewnie od mojej klasy i tam i ja, i inni koledzy z innych klas, ześmy przystąpili do tejże drużyny. Naturalnie nie powiedziano nam, jaka to jest drużyna i przy jakiej szkole. Nic nam nie powiedziano. Natomiast bardzo dużo nam powiedziano o konspiracji. Jeszcze nie bardzo wiedzieliśmy co to znaczy konspiracja, ale drużynowy, Michał Sianorzęcki, który potem w Powstaniu Warszawskim zginął, bardzo wielką wagę przywiązywał do tej konspiracji i długo i dużo nam na ten temat mówił. u nas była demokracja i rada drużyny wołała, ponieważ wszyscy instruktorzy tej drużyny byli, należeli do Armii Krajowej, chcieli, żeby naszą drużynę przydzielić do Szarych Szeregów. I tak się stało. I ja, bardzo szybko, dostałem się do BS-ów, to znaczy do Bojowych Szkół. To byli właśnie chłopcy od wieku, lat, mniej więcej piętnastu, szesnastu do osiemnastu. Później były GS-y, Grupy Szturmowe, chłopcy od wieku lat siedemnastu, osiemnastu do dwudziestu paru. Tu właśnie, to były te oddziały – „Zośka”, „Parasol”, „Miotła”, dywersyjne oddziały. Nas, jako za młodych jeszcze, do dywersji nie chciano. Nasze władze harcerskie bardzo pilnowały tego, żeby za młodych ludzi nie dawać do dywersji. Naturalnie, myśmy trochę ich oszukiwali, bo każdy ten swój wiek skrywał i ja, mając czternaście lat, już byłem w szkole podoficerskiej, tak, że... bo, naturalnie, nabujałem, że mam siedemnaście.

dowódca mego brata Jerzego, zorientował się, że jestem harcerzem, że jestem szkolony do tropienia, do jakichś działań wywiadowczych. Ćwiczone mi w harcerstwie spostrzegawczość, zaradność. Musiałem znać wiele bram przechodnych z ulicy na ulicę, skrótów, które bardzo się przydawały. I dowództwo mego brata, Jerzego, stwierdziło, że jako chłopiec w krótkich spodenkach mogę być dla nich bardzo przydatny. I, ponieważ tam była komórka wywiadowcza, która miała na celu tropienie różnych niepewnych ludzi, konfidentów, głównie konfidentów, donosicieli, i tak dalej, no, to bardzo często mną się posługiwano do wystawiania w danym miejscu i czekania na człowieka, którego poszukują.

CLIP 05

Szefem był taki poeta socjalistyczny, pan „Hagen” miał pseudonim, „Robert” myśmy go nazywali. On był chyba dowódcą tej grupy. Tak, że bardzo mnie pochwalił i zapytał mnie się, czy chciałbym z nimi pójść na prawdziwą, dywersyjną robotę. Powiedziałem, że, naturalnie, tak. „No, to proszę czekać powiadomienia. I jak będzie już czas na to, pogoda będzie ciemna, to wykonamy akcję pod mostem Poniatowskiego.” No i poszedł. Więc, w późniejszym czasie, po jego odejściu, zapytałem się mego brata, Jerzego, co to ma być za akcja. Na to on mi odpowiedział, zresztą ja to wiedziałem, że pod mostem Poniatowskiego Niemcy trzymali samochody policyjne i różne inne wojskowe samochody. Duże, ciężarowe wozy. I trzeba było te samochody spalić.

I mój brat mówi: „, Wiesz co, słuchaj, mam taką nieprzyjemną sprawę, ale muszę ci to, muszę ci taki prezent zrobić. Śe w razie, jak cię złapią, czy coś takiego, a bardzo ci wkroją i, powiedzmy, na tyle cię

będą mordowali, że nie będziesz mógł wytrzymać, to masz tu taką fiolkę, szklaną...” - jak zastrzyk to wyglądało – „... masz ją zgryźć.” Ja mówię: „Co ty się wygłupiasz?! Ja się pokaleczę!” A on mówi: „To już będzie ci zupełnie wszystko jedno. Nie zdązysz tego dobrze zgryźć, jak już nie będziesz żył.” Bo to był cyjanek.

Moja rola, jak mnie później powiedziano, polegała na tym, że mam chodzić chodnikiem w ten sam sposób, jak pod mostem chodzi wartownik, który tych samochodów pilnuje. Jest dość widoczny, bo ubrany w biały kozuch. To był październik, ale Niemcy dbali o swoich żołnierzy, ciepło ubierali. I ten wartownik przeważnie chodził od ulicy Dobrej w stronę miasta, tam, na prawo i potem wracał. I ja miałem ulicą chodzić naprzeciwko niego, widząc jego biały kozuch. Kazali mi papierosa zapalić i, obserwując iskrę mojego papierosa, oni widzieli gdzie ja jestem, a tym samym zdawali sobie sprawę, w którym miejscu jest wartownik. I, w zależności od tego, jak on się od nich oddalił, tak oni te ładunki bomb zapalających umieszczali, w okolicach między, przeważnie, kołem a błotnikiem. Guma się łatwo pali. Jak się guma zapali, to już potem leci.

no a co, jak akcja się udała, to dopiero na drugi dzień można było to stwierdzić. Ja chodziłem do szkoły na Powiślu, na ulicę Sewerynową i w szkole miałem kolegę, który mieszkał Aleja Trzeciego Maja 3, to jest właśnie w tym miejscu, gdzie stały te samochody niemieckie, które mieliśmy za zadanie spalić. I tym kolegą okazał się Jurek Suchanek, mój kolega z harcerstwa i z jednej klasy i on mi powiedział: „Wiesz co?! U nas w nocy dzisiaj była straszna awantura! Strzelali o jakiejś dwunastej w nocy, wybuchły wielkie pożary pod mostem! Sabotażysty spalili samochody! Niemcy strzelali! Awantura była! Karetki! Syreny!” Ja mówię: „No i co? Złapali ich?” „Nie, nikogo chyba nie złapali! W każdym razie wiele było szumu, ale podobno dwanaście czy trzynaście samochodów się spaliło.” No, to bardzo serdecznie mu podziękowałem za tę relację, naturalnie nie zdradzając się ani jednym słowem, że mam z tym coś wspólnego.

CLIP 06

mój brat akurat miał taką pracę, że się zajmował wywiadem. Głównie im chodziło o rozpracowywanie konfidentów i różnych niebezpiecznych elementów, które mogły szkodzić Polakom.

Brat mi nie opowiadał jak to wyglądało, ale wiem, że, nie wiem, czy to była jego pierwsza akcja, czy już któraś z rzędu, w każdym razie, kiedy go skierowano na wykonanie wyroku na konfidentie, z którym, podobno, on miał kontakt. Kontakt polegający na handlu z gettem. Ten konfident, podobno, zajmował się handlem futrami, i tak dalej. A ponieważ żydzi w wyprzedawali w getcie swoje różne kosztowności, jakąś wykwintną odzież, i tak dalej, no, to na tym tle powstała ta ich znajomość. Bo po to, żeby dostać się do konfidenta, żeby z nim rozmawiać, żeby mieć z nim jakiś kontakt, żeby do niego podejść i go zastrzelić, no, to trzeba było z nim jakieś kontakty, towarzyskie czy inne, mieć.

jemu chodziło o to, żeby na umówiony czas i miejsce przyjść i tegoż pana, Mariana Zielińskiego, bo tak się nazywał ten osobnik, zlikwidować. I poszli we trzech. On mieszkał na Ogrodowej 69. Nie pamiętam, na którym piętrze.

Chociaż to był mój brat, i wydaje mi się, że on był dowódcą tej grupy, to jednak sknocili tę akcję dlatego, że, jak powiedziałem, jak otworzył Zieliński drzwi, trzeba było ładować i uciekać. A nie wchodzić do mieszkania i prowadzić rozmowy.

Jerzy sięgnął po pistolet po to, żeby go użyć, a wtedy Zieliński otworzył szufladę, wyjął pistolet, strzelił kilkakrotnie do Jerzego. Tego drugiego kolegę mojego brata postrzelił w rękę. Tamten, zamiast, w z końcu z jedną ręką można strzelać! Zamiast wykonać to, co im nakazano uczynić, to on odwrócił się i zaczął ratować się ucieczką. Zieliński, rozwścieczony, zorientował się, że już Jerzy leży, albo ranny, albo nieżywy, wybiegł za tym uciekającym i po schodach, zbiegając po schodach, strzelał za nim. Po prostu, poniosły go nerwy i to go zgubiło, bo w bramie stał trzeci, najmądrzejszy, najprzyciemniejszy z nich wszystkich, Andrzejczak. I Andrzejczak poczekał, wyjął pistolet, bo słyszał, że ktoś strzela i te strzały się zbliżają do niego. Tak, że z pistoletem trzymany w dłoni, czekał, aż pojawili się dwaj ludzie. Jeden uciekający kolega, który był ranny w rękę, krzyknął: „Ja jestem ranny, a ‘Ralf’ chyba zabity!” No to Andrzejczak krzyknął: „Biegnij po dorozkę!” I poczekał. Długo nie musiał czekać, bo Zieliński z pistoletem dymiącym od strzałów gonił tego, który uciekał. Andrzejczak wymierzył do niego, Zieliński również wymierzył do Andrzejczaka, padły strzały prawie równocześnie i Andrzejczak trafił. Zieliński nie trafił. Ten uciekający przyprowadził zaraz dorozkę, wtedy nie było taksówek, tylko były

dorozki. Taksówki były tylko dla Niemców. Wsiedli w tę dorozkę i uciekli z miejsca zdarzenia. Tę całą historię opowiadał mi potem jeden z przyjaciół mojego brata, ale, niestety, opowiedział mi to dopiero w lipcu, a sprawa odbywała się 19 marca 1943 roku. Mój brat został zabrany przez karetkę niemiecką, pogotowia, wywieziony na ulicę Szucha, gdzie była baza gestapo. Zieliński również tą samą karetką został wywieziony i obaj panowie, podobno, umarli w karetce pogotowia. I jeden i drugi.

W owym czasie konfidenci, tak zwani donosiciele czy prowokatorzy, pełnili straszne spustoszenie w oddziałach konspiracji, w oddziałach nielegalnego wojska, późniejszej Armii Krajowej, i tak dalej, i trzeba było takich ludzi likwidować. Również bardzo wiele kobiet padało od kul żołnierzy podziemia. Kobiety, które były na usługach gestapo, na usługach niemieckich, musiały ginąć. Ja uważam, że to było konieczne, potrzebne i słuszne. To była wojna, okupant był bezkompromisowy, ogromnie dużo ludzi ginęło. Ginęło w obozach, ginęło na ulicach. Ogromnie dużo ludzi było aresztowanych. I jeżeli wiadomo było, że ktoś jest temu winien, no, to tego „ktosia” trzeba było natychmiast zlikwidować. I tak się robiło.

CLIP 07

Ja w 1943 roku, przez moich wodzów harcerek, dostałem się do Armii Krajowej. Tak, że, niestety, ja nie byłem z moimi przyjaciółmi z harcerstwa w Powstaniu Warszawskim, bo ja poszedłem jako żołnierz Armii Krajowej, a przydział miałem w 7. Pułku Piechoty „Garłuch” na Okęciu, Okazuje się, że dowódca pułku, major „Wysocki”, to był pseudonim, nazwisko Babiarz, zorientował się, że Niemcy bardzo dużo umocnień zrobili na lotnisku. Prawdopodobnie przedtem tego nie wiedział. Dowieźli mnóstwo dobrego uzbrojenia, karabinów maszynowych, i tak dalej. I wiedząc o tym, że nasze wojsko, Armii Krajowej, ma bardzo mało broni, właściwie, no, prawie żadnej, no, myśmy mieli te granaty, o których mówiłem, i na pluton mieliśmy dwa karabiny z pierwszej wojny, bez podajników. To znaczy, trzeba było każdą kulę osobno w lufę wkładać, bo inaczej nie było jak strzelać, bo nie było tych łódek, które stanowią taki magazynek na naboje. No i dowódca pułku, o godzinie szesnastej, wydał rozkaz nienacierania na hangary. Ale nie wiem dlaczego ten rozkaz nie poszedł o godzinie trzynastej, czy czternastej, tylko dopiero o szesnastej. A Godzina „W” była o siedemnastej. Rozkaz przez łącznika przyniesiony doszedł, ale o godzinie siedemnastej trzydzieści, jak już było po herbacie. Natarcie zostało, prawie bezbronnymi ludźmi, przez baterię „Kuby” wykonane. Zginęło, w ciągu pół godziny, stu dwudziestu pięciu ludzi. Mam wielki osobiście żal do dowódcy pułku, że tego rozkazu nie wydał godzinę wcześniej. Przecież wiedział, że nie ma telefonów, na własnych nogach trzeba taki rozkaz donieść. A nieraz nie można donieść, bo się na patrol nadzieje człowiek, czy coś takiego, prawda. To musi trwać. To się wysyła nie jednego łącznika, a kilku i to w różnych godzinach. No, ale tak wyszło, jak wyszło. I dlatego rozwiązali pułk i kazali ratować się. Kto w Boga wierzy, sam ma sobie ratować swoje życie. Albo przedostajemy się na własną rękę do Warszawy, albo do Puszczy Kampinoskiej, albo do innych lasów. No, to myśmy wybrali, bo jak ten rozkaz do nas doszedł, że mamy się rozejść do domów, to mój dowódca i przyjaciel, podchorąży „Witold” chciał się zastrzelić. To, dosłownie, że porucznik „Andrzej”, dowódca kompanii chwycił go za Stena, ja za ramiona. I ja mu mówię: „Co pan? Panie podchorąży?! Coś pan zwariował?! Wojna się dla nas dopiero zaczyna, a pan chce samobójstwo popełniać?! Jeszcze będzie okazja pięć razy być zastrzelonym!” I on został. Zginął. Już nie wrócił z tej partyzantki. Ja tam jakoś przeżyłem,

CLIP 08

I tak dostaliśmy się w Lasy Chojnowskie i tam przyłączyliśmy się do oddziału partyzanckiego „Lancy”. To był oddział, z Zamojszczyzny przyszedł. Nieźle uzbrojony to był oddział. I w tym oddziale ześmy zaczęli życie partyzanckie.

Razem z „Lancą” przeszliśmy za Pilicę. Ponieważ ja potrafiłem jeździć konno, to akurat tam ktoś zginął, czy coś, że zwiadu konnego, to mnie wsadzili na konia i bardzo mi tam było dobrze w tym zwiadzie konnym. Wiecie panie, dla piętnastoletniego chłopca, który się znalazł nagle w oddziale partyzanckim, i to jeszcze mu dali konia i za ułana robi, to była dla mnie niesamowita frajda i przyjemność. Z tym, że to, absolutnie, nie koło mojego żalu i bólu, że nie jestem w Powstaniu. Przecież moje siostry w Powstaniu się znalazły, i mama została w Warszawie, i babcia została w Warszawie. No, a ja, jak do tej pory bez żadnego ranienia, bez żadnego... nic się mnie nie stało.

Jestem w partyzantce, niewiele się dzieje, gdzieś tam maszerujemy, coraz dalej i dalej. Oddalamy się od Warszawy. I tak wyglądała sprawa. I za tą Pilicą doszliśmy do takiej miejscowości, chyba Rozwady, gdzie w lesie, w Rozwadach stacjonował bardzo duży oddział partyzancki, około tysiąc ludzi. 25. Pułk Piechoty Piotrkowskiej. I tam „Lanca” postanowił dołączyć się do tego oddziału, bo „Lanca” był oddziałem niewielkim. On miał jakichś stu pięćdziesięciu ludzi. Natomiast 25. Pułk to już był duży oddział. To był pułk, to było tysiąc ludzi. No, i do tego pułku „Lanca”, rzekomo, chciał się przyłączyć. Ale tam nas bardzo miło przyjęli, i tak dalej. Dali nawet żołd. Ale jeszcze tej samej nocy „Lanca” kazał siodłać konie, pakować wozy taborowe i jeszcze tej samej nocy wycofał się z tego oddziału, Bóg wie dokąd.

Przecież on normalnie wziął żołd i uciekł. I dobrze, że nasz dowódca, tej grupy, porucznik „Osuch” znał dobrze dowódcę pułku z Włodzimierza, bo razem byli przed wojną w artylerii lekkiej, we Włodzimierzu i on nas jakoś wyreklamował, że nam żadnej krzywdy nie zrobili, tylko nas przyjął major do tegoż pułku. No i tak to było. W tym pułku staliśmy na ubezpieczeniu pułku we wsi Mechlin. Staliśmy tam prawie miesiąc. Ale po miesiącu przeniesiono nas w inne miejsce, bardzo niedobre, bo blisko szosy, gdzie tam, przeważnie, w tej gajówce, w której wszyscy, te ubezpieczenia stały, zawsze w tej gajówce to się smutno kończyło, bo Niemcy zaatakowali. Bo to było blisko szosy i przeważnie ci ludzie ginęli. No, ale nam akurat nic się złego nie stało. Nikt nas nie zaatakował. Przeciwnie, w tej wsi Mechlin, gdzie myśmy miesiąc prawie stali, tam zrobili obławę, tam rzucili wszystkie siły tych kałmuków, tych własowców z oddziałów RONA, i tak dalej. Wiecie, to były radzieckie oddziały, które Niemcy wzięli do niewoli i potem za cenę życia te oddziały przeszły na służbę armii niemieckiej. I głównie Niemcy ich używali do likwidowania partyzantki, Powstania Warszawskiego i ci ludzie wykazywali się niesłychanym okrucieństwem. To byli dzicy ludzie, po prostu. No i zaatakowali wieś Stefanów, to była taka wioska, w której Pułk 25. stacjonował, obok była wioska Gałki, w której stacjonował 72. Pułk, taki mniejszy już, około pięćset ludzi liczył. No i te oba pułki toczyły całodniową walkę z Niemcami, ale tam zginęło chyba jedenastu tych partyzantów naszych i reszta jakoś tam się wyratowała. Nic się specjalnego nie stało.

CLIP 09

Po Stefanowie przeszliśmy w Lasy **Białaczowskie** i tam porucznik „**Osuch**” przyszedł do mnie, że jest wydzielana grupa w celu zbierania żołnierzy Powstania Warszawskiego, którzy wycofują się z Warszawy do różnych partyzantek i w okolicy jest tych oddziałków, większych i mniejszych dosyć dużo. I czy ja chcę uczestniczyć w takiej grupie, która będzie tych partyzantów z Warszawy, tych żołnierzy z Powstania Warszawskiego zbierała, ta grupa. Ja wyraziłem chęć, że naturalnie tak. I wziął mnie do tej, tam było chyba z dziesięć osób w tej grupce i ruszyliśmy tam, w kierunku Nowego Miasta, chyba. Po drodze mieliśmy dosyć dobre rozeznanie. Mieliśmy swojego łącznika takiego „Malinę”, we wsi Bieliny, który wszystko wiedział, co się dzieje w okolicy i ten „Malina” nam tam nastęrczył taki duży oddział, który potrzebuje kontaktu z jeszcze większym oddziałem. A to było jakichś stu pięćdziesięciu ludzi pod dowództwem podporucznika „Lecha”, Stanisława **Degórskiego**. To był oddział z Lubelszczyzny. Jak oni się tu znaleźli. Najpierw, podobno, doszli do Kampinosu, a potem, po rozbiu Kampinosu pod Jaktorowem przeszli w te nasze lasy. No i kontakt z nami nawiązali. I z tym oddziałem stoczyliśmy akcję pod łąkami, koło Drzewicy. Zginęło nam dwóch ludzi. Kałmucy nas zaatakowali. Oni naszli na nas niechęć zupełnie. I nasze ubezpieczenia ich zatrzymały, wywiązała się strzelanina i zginęło nam bardzo dobrych dwóch ludzi. I po tej całej akcji ludzie się tak rozszalili na to, że znowu dwóch zginęło. Za dwa dni znowu jakieś miny wybuchły, wóz taborowy najechał. Komuś wyleciały, z wozu spadły. Następny wóz najechał na to i wybuchły te miny. I znowu tam poranionych było dwóch ludzi. I tak się ludzie wściekli. A obok stał oddział „Szarego”. I już nie chcieli do 25. Pułku wracać, tylko zrobili takie zebranie, że przystępują do... Każdy pluton wystawił swoją delegację i wszystkie plutony zazyczyły sobie, że proszą dowództwo o zgodę na przystąpienie do oddziału „Szarego”. No, naturalnie, jeżeli „Szary” wyrazi zgodę. I wysłaliśmy tam łącznika do „Szarego”, „Szary” powiedział: „Zgoda.” I przyjął nas do oddziału. I tak się stałem żołnierzem oddziału 3. Pułku Legionów Polskich pod dowództwem „Szarego”. Krótco byłem w tym oddziale, bo Niemcy, front rosyjski się bardzo już zbliżył, już byli nad Wisłą, chcieli oczyścić swoje te przedpole z partyzantki i rzucili na te lasy nasze mnóstwo tych radzieckich jeńców, tych kałmuków. Te oddziały RONA i Kamińskiego. I 5 listopada

staliśmy niedaleko wsi Boków i już czwartego 25. Pułk walczył w Bokowie. Bardzo to była duża akcja, tam dużo ludzi zginęło. Naszych i Niemców również. A 5 listopada przeszła ta nawała, ta obława, do nas.

CLIP 10

I myśmy stali w szatach, daleko dosyć od wsi. I oni nas tam zaatakowali. Ja byłem wtedy bardzo chory, bo byłem po jakimś dużym marszu i miałem obtartą nogę. A nogi, normalnie, w wysokich butach, wszyscyśmy mieli wysokie buty przeważnie, nogi były zjedzone przez wszy. I wtedy, kiedy był na to czas, kiedy można było buty zdjąć, to człowiek zdejmował te buty i te nogi, biedne, pokąsane przez wszy drapał. A potem tam się robiły rany, i ropa, no i zrobiło się jakieś zakażenie. Tak, że ja miałem bardzo wysoką gorączkę, chodzić nie mogłem.

Komendant wyjął mapy i kombinował, jak tu z tej opresji wyjść, którędy tu można im umknąć jakoś. Rozłożył sobie te mapy i widziałem jaki on był spokojny. Kompletnie. Przecież kanonada była taka dookoła, że wiadomo, że zaraz my będziemy wojować. A on sobie leżał spokojny, siedział sobie na tym kocu i te mapy przeglądał. Tak sobie pewnie wymyślał, którędy by tu można, którędy najlepiej jest jakoś odskoczyć.

mieliśmy jakiegoś konnego, podoficera. Prosił go, żeby on pojechał w lewo, w prawo, że tam gdzieś jakiś las duży jest, żeby przywiózł nam jakąś wiadomość, gdzie najlepiej, gdzie jeszcze jest kawałek lasu, gdzie nie ma tych własowców, tych kałmuków. Ale on wrócił kilka razy, w różne strony, i w lewo, w prawo jechał i za każdym razem nam ogłaszał, że wszędzie jesteście otoczeni, że nie ma mowy, żebyśmy się... I w pewnym momencie któryś z kolegów mówi: „Słuchajcie, zastanówmy się. Trzeba coś zrobić! Co robimy?” Ja mówię: „A co, położymy się tutaj. Drogo się sprzedamy i już.” I już. I tak koniec i tak koniec i nie ma... No, ale ludzie do ostatka, zawsze chcą się ratować. I były takie straszliwie gęste krzaki. To były chyba takie ciernie jak Pana Jezusa ukrzyżowali, to mu koronę z tego zrobili. Tak, że tam nie było mowy, żeby w to wejść. Ale jakoś karabinami odsuwali to, jeden karabinem podnosił te potworne, gęste, ostre takie kolce, krzaki, a drugi tam, pod spodem jakoś, wlaził. I tak ześmy w te krzaki jakoś weszli i uważaliśmy, że w tak gęste krzaki już nikt tam nas nie znajdzie i nie wejdzie. I tam była, w środku, jakieś już przeszli przez to najgorsze, to w środku taka polanka się zrobiła, jak dwa te pokoje.

A tą naszą grupę, ich tam więcej potem wlaźło w te krzaki, wygonili wszystkich, do niewoli. I ja wychodziłem ostatni. Wiecie, ja byłem tak bogojczyźnianie wychowany, że ja zupełnie mogłem się z tym... Co moje siostry powiedzą?! Co matka powie?! Śe ja się do niewoli oddałem! I łeb wystawiłem poza te krzaki i patrzę, jak taka kupa tej broni naszej, złożonej, bo ci własowcy kazali na taki stos tą broń złożyć. I stos broni leży naszej, a moi koledzy stoją w szeregu i własowcy wiążą im z tyłu ręce. I jak ja to zobaczyłem, to się ten łeb schowałem, wycofałem się, znalazłem jakiś jałowiec, nie jałowiec, taki strasznie nisko ziemi położony i wlażłem pod niego na klęczkach. Tego Stena bez magazynu wsadziłem między nogi, sam na łokciach się tak oparłem tam i tak sobie, tam przesiadziłem, aż się zaczęło uspakajać. Ci własowcy powiązali tych moich kolegów i słychać było te ich okrzyki. Bo oni, jak się posuwali do przodu, to krzyczeli: *Urra! Urra!* Tak sobie animuszu dodawali. A poza tym, oni byli strasznie pijani wszyscy. W każdym razie, jak któryś z nich zginął, a ześmy obmacywali, jaki on tam ma sprzęt przy sobie, to zawsze mieli manierki napełnione jakimś bimbrem. No i ja słyszałem, że te głosy się bardzo oddalały i już się noc zupełna robiła. I nagle ktoś zaczął gwizdać „Jeszcze Polska nie zginęła”. No, to ja, po jakimś czasie, odgwizdałem mu. No, to on mówi: „Ilu was jest?” Ja mówię „Ja jestem jeden.” „A nas jest jeszcze czterech”, chyba. To, okazuje się, że jeszcze takich mądrych jak ja, to się znalazło jeszcze czterech. No i potem wyleźliśmy z tych krzaków. Któryś tam miał zapaliki, tośmy świecili tymi zapalnikami, żeby zobaczyć, czy się znamy, czy się nie znamy. Oddział „Szarego” miał około pięciuset ludzi. Tak, że trudno było wszystkich znać. A to, w przeważającej części, byli chłopcy z Wileńszczyzny. Bo oni stacjonowali w Kampinosie, a do Kampinosu przeszła grupa „Doliny” z wilniakami, z Nowogródzkiej. I tam ich bardzo dużo było i przyszli oni do nas. I stąd się wzięło tylu tych chłopaków z Wileńszczyzny. Jak ja ich się potem zapytałem, gdzie oni chcą wracać, dokąd oni chcą iść, co my z sobą zrobimy teraz, to: „My do Wilna. Wracamy do Wilna.”

No i ja pomaszerowałem, pozegnałem się z tymi wilniakami. Ja uważałem, że ja muszę dojść do jakiejś wioski, żeby mi dali pomoc. Ja byłem tak zmęczony i tak chory, z taką gorączką, że musiałem poleżeć gdzieś.

CLIP 11

„Jest słowo: konspiracja. Co znaczy, nie wie nikt.
Nieziemska to atrakcja, duchowy raczej wikt.
Iluzja, czy złudzenie? Powietrze, eter, mgła?
A jednak to znaczenie fenomenalne ma!
Bo konspiracja, to konspiracja!
To jest naszego życia treść!
I w tym jest fason, i w tym jest gracia,
By bez papieru KB nieść!
(KB, to jest karabin)
Przeciętny konspirator wygląda, z grubsza, tak:
Jest cichy, miły, grzeczny, szczególnych znaków brak!
Gdy chce powiedzieć słowo, ostrożny jest ten gość,
Pod szafę wejdzie z głową, czy tam nie siedzi ktoś.
Ach konspiracja, to konspiracja!
To jest naszego życia treść!
I w tym jest fason, i w tym jest gracia,
By bez papieru KB nieść!
Raz pewien konspirator – nazwisko, mniejsza z tym,
Pozostawiony na noc, przeczyścić chciał PM.
Spust spuścił po kryjomu, w kanapę huknął strzał
A lokatorzy domu – do schronu, jak kto stał!
I wie już o tem cała Warszawa
I każde dziecko, każdy stróż,
Śe trzeba strzelać, by nie wyjść z wprawy
A że w kanapę, to i cóż?”

www.resistance-archive.org